

SIOSTRA PERŁY

— SIEDEM SIÓSTR —



LUCINDA RILEY

1

Zawsze będę dokładnie pamiętać, gdzie dowiedziałam się o śmierci ojca i co wtedy robiłam, pomyślałam, wyglądając przez okno, za którym rozciągała się nieprzenikniona czerń nocy. Poniżej miejscami pojawiały się niewielkie skupiska migoczących światła. Oznaczały ludzkie siedziby; każde światło to czyjeś życie, rodzina, grupa przyjaciół.

A ja czułam, że nic z tego już mnie nie dotyczy.

Całkiem jakbym widziała świat do góry nogami, bo światła w dole wyglądały niczym mniej jaskrawe odbicia gwiazd nade mną. Widok ten skojarzyłam z uwagą jednego z moich wykładowców w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Powiedział mi, że maluję, jakbym nie widziała, co mam przed sobą. Miał rację. Obrazy pojawiały się w moim umyśle, a nie w rzeczywistości. Często nie przyjmowały kształtów zwierząt, minerałów, a nawet ludzi, ale miały moc i zawsze czułam przymus, aby je do końca wyrazić.

Weźmy za przykład wielką stertę złomu, którą zebrałam na londyńskich śmietnikach i trzymałam w swoim studio w mieszkaniu. Całymi tygodniami starałam się wymyślić, jak ułożyć względem siebie poszczególne przedmioty. Jakbym układała ogromną kostkę Rubika, choć jej elementami były śmierdzący kanister po oleju, stara kukła Guya Fawkesa, opona czy zardzewiały metalowy kilof. Wciąż zamieniałam je miejscami i wszystko było dobrze do czasu dołożenia ostatniego, kluczowego, elementu, który zawsze – gdziekolwiek bym go położyła – rujnował całą instalację.

Oparłam rozpalone czoło o szybę ze szkła akrylowego. Tylko ona dzieliła mnie i wszystkich pozostałych ludzi w samolocie od uduszenia się i pewnej śmierci.

Nasze życie jest tak kruche...

Przestań, CeCe, skrytykowałam się ostro, czując, jak narasta we mnie strach. Jesteś w stanie lecieć bez wpadania w panikę, uwierz mi.

Zmusiłam myśli, by skupiły się na Pa Saltie; tak bardzo bałam się latania samolotem, że rozpamiętywanie wydarzeń z okresu tuż po jego śmierci przynosiło mi dziwną pociechę. Jeśli zdarzy się najgorsze, samolot spadnie z nieba i wszyscy zginiemy, wtedy może on będzie na mnie czekał po drugiej stronie. W końcu ma już za sobą podróż tam, na górę. A przebył ją jak każdy: w samotności.

Kiedy zadzwoniła do mnie nasza młodsza siostra Tiggy z wiadomością, że Pa Salt nie żyje, właśnie wkładałam dzinsy. Dziś jestem pewna, że nie do końca do mnie dotarło, co się stało. Nie byłam w stanie myśleć o niczym innym niż o tym, jak powiem to Star, która uwielbiała naszego ojca. Wiedziałam, że będzie zdruzgotana.

Ty też go uwielbiałaś, CeCe...

To prawda. Tylko że moją życiową rolą było chronienie bardziej wrażliwej siostry. Właściwie była o trzy miesiące starsza ode mnie, ale miała trudności z mówieniem, więc zawsze wyrażałam wszystko za nią. Więc odsuwając na bok własny ból, zasunęłam suwak dzinsów i weszłam do salonu, żeby jej o tym powiedzieć.

Nie odezwała się ani słowem, tylko rozplakała się w moich ramionach. Ja robiłam, co mogłam, żeby powstrzymać łzy. Dla niej, dla Star. Musiałam być silna, bo mnie potrzebowała...

Tak było wtedy...

– Proszę pani, czy czegoś pani potrzebuje?

Z góry owionął mnie obłok piżmowych perfum. Podniosłam wzrok i zobaczyłam schyloną nade mną stewardesę.

– Hm... nie, dziękuję.

– Nacisnęła pani dzwonek – powiedziała przesadzonym szepczeniem, by mi przypomnieć, że wszyscy pasażerowie śpią. W końcu według czasu londyńskiego była czwarta rano.

– Przepraszam – szepnęłam, zdejmując z przycisku winny jej wezwania łokieć.

Skinęła głową w taki sam sposób jak nauczyciele, kiedy w szkole otwierałam oczy podczas modlitwy, po czym odeszła z szelestem jedwabiu. Próbowалам się jakoś wygodnie umościć i zamknąć oczy. Marzyłam, by się upodobnić do zgromadzonych tu mniej więcej czterystu zabłąkanych dusz, którym udało się uciec od horroru mknienia w przestrzeni w aluminiowej tubie i zasnąć. Jak zwykle czułam się pominięta, wykluczona z tłumu.

Oczywiście mogłam zarezerwować miejsce w klasie biznesowej. Nadal miałam nieco pieniędzy ze spadku, ale nie tak dużo, by je marnować na kilka dodatkowych centymetrów przestrzeni. Większość wydałam na szpanerski londyński apartament nad rzeką dla mnie i dla Star. Myślałam, że moja siostra chce prawdziwego domu, że ją to uszczęśliwi, ale bardzo się myliłam.

Okazało się, że nic nie osiągnęłam od zeszłego roku, kiedy to razem siedzieliśmy w klasie ekonomicznej i leciałyśmy na drugą stronę świata, do Tajlandii. Tylko teraz nie było przy mnie Star i nie miałam żadnego celu. Uciekałam.

*

– Czy ma pani ochotę na śniadanie?

Otworzyłam oczy półprzytomna i zdezorientowana. Zobaczyłam nad sobą tę samą stewardesę, która przyszła do mnie w środku nocy. W kabinie włączono światła, a przez kilka okien, w których uniesiono zasłony, widać było różowy blask świtu.

– Nie, dziękuję. Poproszę tylko kawę. Czarną.

Kiwnęła głową i odeszła. Ciekawe, dlaczego krępowалам się o cokolwiek poprosić – przecież za wszystko tu płaćłam.

– Dokąd lecisz?

Odwrociłam się i ujrzałam twarz mojego sąsiada, którego dotychczas widzielaм jedynie z profilu. Do tej pory był dla mnie tylko nosem, ustami i łokiem jasnych włosów wystającym spod jego czarnego kaptura. Teraz wpatrywał się we mnie odwrócony twarzą. Miał najwyżej osiemnaście lat. Na czole i brodzie wciąż nosił ślady po trądziku młodzieńczym. Czułam się przy nim jak emerytka.

– Do Bangkoku, a potem do Australii.

– Super – skomentował, pochłaniając nienadające się do jedzenia jajka na bekonie, obok których na tacce jak z więzienia leżało coś długiego i różowego, co udawało kielbasę. – Też się tam wybieram, ale najpierw chcę zobaczyć, jak jest w Tajlandii. Słyszałem o odlotowych zabawach na plaży przy pełni księżyca. Podobno to niezła jazda.

– To prawda.

– Byłaś już w Tajlandii?

– Tak. Kilka razy. – Jego pytanie natychmiast przywołało w mojej głowie wspomnienia.

– Którą plażę polecasz? Słyszałem, że najlepsza jest na wyspie Phangan.

– Dawno tam nie byłam, ale podobno tamtejsze imprezy strasznie się rozrosły, przyjeżdża po kilka tysięcy ludzi. Ja najbardziej lubię plażę Railay w Krabi ze względu na ciszę i spokój, ale wszystko zależy od tego, kto czego szuka.

– Słyszałem o Krabi – powiedział, pracowicie żując kielbasę. – Najpierw spotykam się z kumplami w Bangkoku. I tak mamy kilka tygodni do pełni, więc coś wymyślimy. Ktoś na ciebie czeka w Australii?

– Tak – skłamałam.

– W Bangkoku też trochę posiedzisz?

– Tylko przenocuję.

Kiedy samolot zaczął schodzić do lądowania nad lotniskiem Bangkok-Suvarnabhumi i załoga przekazywała uwięzionym w samolocie pasażerom rutynowe instrukcje, czułam, jaki jest podniecony. Głupota, pomyślałam, zamknęłam oczy i z całej siły starałam się uspokoić rozszalałe serce. Gdyby samolot się rozbił, wszyscy zginęlibyśmy na miejscu, niezależnie od tego, czy stolik przede mną jest zamknięty, czy nie. Muszą to mówić chyba po to, żeby nas trochę rozluźnić.

Samolot wylądował tak delikatnie, że nawet nie poczułam ziemi, dopóki nie usłyszałam przez głośniki, że już na niej jesteśmy. Otworzyłam oczy i ogarnęła mnie fala euforii. Co za triumf! Samodzielnie odbyłam długi lot, a w dodatku żyję i mogę o tym opowiadać. Star byłaby ze mnie dumna... jeśli w ogóle jeszcze jej na mnie zależy.

Przeszłam przez kontrolę graniczną, zabrałam bagaż z taśmy obrotowej i ruszyłam w stronę wyjścia.

– Dobrej zabawy w Australii! – zawołał mój nastoletni sąsiad, który podbiegł, żeby się ze mną pożegnać. – Kumpel mówił mi, że tamtejsza przyroda jest nie z tej ziemi. Są tam na przykład pająki wielkości talerzy. Do zobaczenia!

Pomachał mi i zniknął w ludzkiej masie. Ruszyłam za nim do wyjścia, tyle że dużo wolniej niż on. Na zewnątrz uderzyła mnie fala tak dobrze mi znanego przesyconego wilgocią gorącego powietrza. Wsiadłam do wahadłowego autobusu z lotniska, dojechałam do hotelu, w którym zrobiłam rezerwację, zarejestrowałam się, windą wjechałam na górę i weszłam do sterylnej sypialni. Zrzuciłam z ramion plecak, usiadłam na białej pościeli i pomyślałam, że gdybym była właścicielką hotelu, dawałabym gościom ciemną pościel, na której nie widać plam pozostawionych przez ludzkie ciała, bo z białej nie dawały się sprać, choćby nie wiem jak ją szorować.

Świat był dla mnie pełen zagadek, zasad, które ktoś gdzieś wymyślił, pewnie bardzo dawno temu. Gdy zdjęłam z nóg buty trekkingowe, przemknęło mi przez głowę, że w zasadzie mogłabym być gdziekolwiek na świecie, i ta myśl bardzo mi się nie spodobała. Nade mną szumił klimatyzator. Zamknęłam oczy. Jedyne, o czym byłam w stanie myśleć, to o tym, że gdybym w tej chwili umarła, nikt by się o tym nie dowiedział.

Zrozumiałam, czym naprawdę jest samotność. Czułam się, jakby zżerała mnie od środka, pozostawiając po sobie wielką pustą dziurę. Mrugałam, by odgonić łzy. Nigdy nie byłam płaksą, ale były uparte, aż w końcu musiałam otworzyć oczy pod ich naporem; miałam wrażenie, że pękła we mnie jakaś tama.

Płacz jest w porządku CeCe, naprawdę.

W głowie usłyszałam pocieszający głos mamy. Przypomniałam sobie, jak mi to powiedziała, kiedy spadłam z drzewa i skrzyłam sobie kostkę. Tak mocno zagryzłam dolną wargę, by powstrzymać się od płaczu, że aż poleciała mi krew.

– Jej na pewno na mnie zależy – mruknęłam bezsilnie i sięgnęłam po komórkę, żeby ją włączyć i napisać mamie, gdzie jestem. Bałam się jednak, że zobaczę tam wiadomość od Star albo, co gor-

sza, nie będzie od niej żadnej wiadomości. A to drugie na pewno by mnie załamało, więc rzuciłam telefon na łóżko i usiłowałam znów zamknąć oczy. Wtedy jednak ukazał się przed nimi tata i za nic nie chciał zniknąć.

Ważne, żebyście obie ze Star miały własnych znajomych, a nie tylko siebie nawzajem, CeCe.

Powiedział to tuż przed naszym wyjazdem na Uniwersytet Sussex. Byłam na niego zła, bo nie potrzebowałam nikogo innego, podobnie jak Star. A przynajmniej wydawało mi się, że ona nikogo nie potrzebuje. Ale potem...

– Tato... – Westchnęłam. – Czy tam, w górze, jest lepiej?

W ciągu ostatnich kilku tygodni, kiedy Star wyraźnie dała mi do zrozumienia, że już nie jestem jej potrzebna, dużo rozmawiałam z tatą. Jego śmierć wydawała mi się nierzeczywista; nadal czułam, że jest blisko mnie. Choć na zewnątrz byłam całkowicie inna niż Tiggy (następna siostra po mnie, która miała różne dziwne przekonania), tak naprawdę też byłam osobą, która wiedziała i czuła więcej... To coś siedziało w moich trzewiach i... objawiało się w snach. Często miewałam wrażenie, że świat snów jest bardziej prawdziwy i wyrazisty niż jawa – jakbym oglądała serial w telewizji. Tak odbierałam te dobre noce, bo miewałam też koszmary senne. Na przykład o ogromnych pająkach...

Wzdrygnęłam się na wspomnienie słów mojego nastoletniego towarzysza podróży. Chyba niemożliwe, żeby w Australii osiągały wielkość talerzy?

– Chryste! – Wskoczyłam z łóżka, by powstrzymać natłok myśli, i umyłam twarz w łazience. Przyjrzałam się swojemu odbiciu. Miałam zaczerwienione i spuchnięte od płaczu oczy, a na dodatek przetłuszczone po długiej podróży włosy. Przypominałam w tym momencie dzikiego warchlaka.

Nieważne, ile razy mama powtarzała mi, że mam piękne oczy o niezwykłym kształcie i kolorze, a Star mówiła, że uwielbia głaskać mnie po skórze, bo, jak twierdziła, jest gładka i miękka niczym masło kakaowe. Wiedziałam, że są po prostu dla mnie miłe. Nawet jeśli byłam brzydka, to nie ślepa. Nie znosiłam, kiedy ktoś z wyższością mówił o moim wyglądzie. Miałam pięć urodziwych siostr i wychodziłam ze skóry, żeby nie próbować współzawodni-

czyć z nimi, jeśli chodzi o wygląd. Elektra – było nie było, supermodelka – wciąż mi powtarzała, że powinnam zadbać o siebie, aby uwypuklić zalety swojej urody, ale szkoda mi było na to czasu i zachodu, bo żeby nie wiem co, i tak nie będę nigdy piękna.

Potrafiłam jednak tworzyć piękno. Teraz, na dnie rozpaczy, przypominałam sobie jeszcze coś, co tata powiedział mi, kiedy byłam młodsza.

Cokolwiek ci się w życiu przydarzy, CeCe, jednego nikt nie jest w stanie nigdy ci odebrać: talentu.

Wydawało mi się wtedy, że to następny... Jak nazwałaby to Star? Banał, który ma mi zrekompenzować fakt, że jestem do bani pod względem urody, nie idzie mi w szkole i nie umiem się dogadać z ludźmi. Zresztą, tak naprawdę okazało się, że tata się mylił, bo choć inni nie mogą człowiekowi odebrać talentu, mogą w nim zniszczyć pewność siebie i tak zamotać mu w głowie, że już nie wie, kim jest i jak zadowolić ludzi, a przede wszystkim jak zadowolić siebie. Właśnie to przydarzyło mi się na kursie w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. I dlatego stamtąd związałam.

Przynajmniej dowiedziałam się, w czym nie jestem dobra, pocieszyłam się w duchu. Co, według tamtejszych nauczycieli, obejmowało prawie wszystko, czego mnie tam przez ostatnie trzy miesiące uczono.

Mimo batów, jakie otrzymałam ja, a także moja twórczość, wiedziałam, że jeśli stracę wiarę w swój talent, nie mam powodu, by dalej żyć. Naprawdę tylko to mi zostało.

Wróciłam do sypialni i znowu się położyłam. Chciałam, żeby już minęły te straszne, samotne godziny. W końcu zrozumiałam, dlaczego tyłu starszków siedziało na ławkach, kiedy przechodziłam przez park Battersea w drodze do akademii. Nawet jeśli na dworze panował mróz, musieli się upewnić, że na Ziemi są jeszcze inni ludzie i że oni nie są całkowicie sami.

Przypuszczalnie zasnąłam, bo obudził mnie koszmarne sen o pajakach i własny krzyk. Automatycznie zatkałam usta dłonią, żeby ktoś w pokoju na moim piętrze nie pomyślał, że mnie mordują. Uznałam, że dłużej nie wytrzymam sama w tym bezdusznym pokoju, więc wzięłam aparat fotograficzny i zjechałam windą do recepcji.

Na zewnątrz była cała kolejka taksówek oczekujących na klientów. Wsiadłam do jednej z nich i kazałam kierowcy jechać do Wielkiego Pałacu Królewskiego. Zawsze w równym stopniu bawiło mnie, co denerwowało, że w Bangkoku i tych miejscach w Tajlandii, które poznałam, zatrudniano znacznie za dużo ludzi. Jeśli weszło się do jakiegokolwiek sklepu, choćby po paczkę orzeszków, jedna osoba oprowadzała cię między półkami, druga obsługiwała kasę, a trzecia pakowała zakupy. Praca jest tam śmiesznie tania. Natychmiast poczułam wyrzuty sumienia, że tak myślę, a potem przypomniałam sobie, że właśnie dlatego lubię jeździć po świecie: podróże pozwalają wszystko zobaczyć w szerszej perspektywie.

Gdy kierowca wysadził mnie przed Wielkim Pałacem, ruszyłam w ślad za tłumem turystów. Wielu z nich miało czerwone ramiona, po czym można było poznać, że niedawno przybyli z miejsc o chłodniejszym klimacie. Przed świątynią zdjęłam buty trekkingowe, postawiłam je obok całego przeglądu kłapek i tenisówek, które zostawili inni zwiedzający, i weszłam do środka. Szmaragdowy posąg Buddy ma podobno ponad pięćset lat i jest najśłynniejszą rzeźbą w Tajlandii, ale w porównaniu z innymi, które widziałam, jest mały. Intensywny kolor jadeitu i kształt posągu kojarzyły mi się z jaskrawozieloną jaszczurką. Kończyny Buddy w tej rzeźbie są jakby płynne i szczerze mówiąc, niezbyt precyzyjnie wykonane. Nie ma to jednak znaczenia – Szmaragdowy Budda jest piękny.

Usiadłam po turecku na jednej z leżących tam mat i rozkoszowałam się przebywaniem poza zasięgiem słońca, w ogromnym, zanurzonym w spokoju pomieszczeniu, wśród ludzi, którzy podobnie jak ja kontemplowali własny pępek. Nigdy nie byłam specjalnie religijna, ale gdybym miała wybrać wiarę, najbardziej podobał mi się buddyzm, ponieważ skupia się na przyrodzie, która, według mnie, jest cudem rozgrywającym się przed naszymi oczami.

Star często mawiała, że powinnam zapisać się do partii zielonych, bo jeśli obejrzałyśmy w telewizji jakiś program na temat środowiska, godzinami musiała wysłuchiwać moich komentarzy. Po co miałabym to jednak robić?

Mój głos się nie liczył, byłam za głupia, żeby ktokolwiek traktował mnie serio. Wiedziałam tylko, że rośliny, zwierzęta i oceany,

które składają się na nasz ekosystem i dzięki którym żyjemy, zbyt często są ignorowane.

Jeśli mam cokolwiek czuć, to właśnie to, mruknąłam do Buddy. On także powstał z ziemi – wyciosano go z pięknego minerału, który powstawał przez tysiące lat – więc wydawało mi się, że pewnie mnie zrozumie.

Skoro znajdowałam się w świątyni, postanowiłam porozmawiać z Pa Saltem. Może kościoły i świątynie są czymś w rodzaju central telefonicznych lub kawiarenek internetowych: dają nam lepsze połączenie z niebem...

– Cześć, tato, tak mi przykro, że umarłeś. Tęsknię za tobą znacznie bardziej, niż wydawało mi się to możliwe. Przepraszam, że cię nie słuchałam, kiedy dawałeś mi rady, prawifeś te swoje mądrości i tak dalej. Powinnam była cię słuchać, bo zobacz, jak wyładowałam – powiedziałam cicho. – Mam nadzieję, że jest ci tam, w górze, dobrze – dodałam. – Jeszcze raz przepraszam.

Wstałam, czując w gardle niepokojącą gulę. Obawiając się, że za chwilę się rozplacę, ruszyłam w stronę drzwi. Miałam już wychodzić, kiedy jeszcze raz się odwróciłam.

– Proszę, pomóż mi, tato – szepnęłam.

Gdy wyszłam ze świątyni, kupiłam butelkę wody od ulicznego sprzedawcy i spacerem ruszyłam nad rzekę Chao Phraya. Przystanąłam i przez chwilę obserwowałam panujący na niej ruch. Holowniki, motorówki i przykryte czarnym brezentem szerokie barki uwijały się przy swojej codziennej pracy. Postanowiłam wybrać się w rejs promem pasażerskim. Był tani i stanowił lepszą alternatywę dla siedzenia w moim okropnym hotelu przy lotnisku.

Z pokładu podziwiałam szklane drapacze chmur, wśród których umościły się złote świątynie. Wzdłuż brzegów rzeki pobudowano rozklekotane pomosty łączące okoliczne drewniane domy z nieprzerwanym strumieniem pracowitego życia na wodzie. Wyjęłam swój wierny aparat fotograficzny marki Nikon, który dostałam od taty na szesnaste urodziny – Pa Salt powiedział wtedy: „Dzięki niemu będziesz mogła robić zdjęcia tego, co cię inspiruje” – i zabrałam się do pstrykania. Star wierciła mi dziurę w brzuchu, żebym przerzuciła się na fotografię cyfrową, ale z nowoczesną techniką mi nie po drodze, więc trzymałam się tego, co znam.

Wysiadłam z promu tuż za Hotelem Orientalnym i poszłam na spacer wzdłuż ulicy, przy której stoi. Przypomniało mi się, jak kiedyś zaprosiłam tam Star na kolację w słynnym Salonie Autorskim. Wśród elegancko ubranych gości czułyśmy się nie na miejscu w dzinsach i T-shirtach. Star godzinami siedziała w tamtejszej bibliotece, oglądając podpisane zdjęcia pisarzy, którzy zatrzymali się w hotelu. Ciekawe, czy kiedykolwiek napisze tę swoją powieść? Bo przecież tak świetnie idzie jej układanie zdań i opisywanie wszystkiego na papierze. Chociaż teraz to już nie moja sprawa. Ma nową rodzinę; widziałam światło w jej oczach, kiedy kilka tygodni temu wróciłam do domu i zastałam tam mężczyznę, do którego zwracała się Mouse. Patrzył na nią z zachwytem: jak szczeniak.

Usiadłam w ulicznej kawiarence i zaryzykowałam: zamówiłam miskę klusek i piwo. Alkohol nie bardzo mi leży, ale czułam się tak okropnie, że raczej nie mógł mi bardziej zaszkodzić. Podczas jedzenia pomyślałam, że najbardziej boli mnie nie myśl, że Star ma nowego chłopaka i pracę, ale że stopniowo odsunęła się ode mnie. Może sądziła, że jestem zazdrosna, że chcę ją mieć wyłącznie dla siebie, ale to nieprawda. Kocham ją bardziej niż cokolwiek na świecie i zawsze chciałam tylko jej szczęścia. Nie jestem tak głupia, by nie zdawać sobie sprawy, że skoro jest taka piękna i mądra, kiedyś przyplącze się do niej jakiś facet.

Wtedy, w mieszkaniu, byłaś dla niego bardzo niegrzeczna, wspominał mi wewnętrzny głos. Tak, to prawda, przeszkadzało mi, że ten facet do nas przyszedł, i jak zwykle nie potrafiłam tego ukryć.

Piwo zrobiło swoje i przytępiło mój ból. Zapłaciłam, wstałam, po czym bez celu pałętałam się po ulicy, aż w końcu skrzyżowałam w wąską alejkę, przy której był uliczny targ. Przy jednym ze straganów w głębi zauważyłam artystę, który malował akwarele. Kiedy obserwowałam jego pracę przy sztalugach, przypomniały mi się wieczory na plaży Railay w prowincji Krabi, które spędziłam ze szkicownikami i farbami, usiłując uchwycić piękno zachodu słońca. Zamknęłam oczy i pomyślałam o spokoju, jaki czułam, będąc tam ze Star zaledwie rok temu. Boleśnie zapragnęłam powrotu tego uczucia.

Wróciłam nad brzeg rzeki, oparłam się o balustradę i zaczęłam rozmyślać. Czy gdybym przed dalszą drogą do Australii pojechała

w miejsce, gdzie czułam się szczęśliwa, wysłabym na tchórza? Na plaży Railay znam ludzi. Rozpoznają mnie, pomachają mi i powiedzą „Cześć”. Większość z nich też od czegoś uciekała, bo Railay to właśnie takie miejsce. Poza tym lecę do Australii tylko z powodu tego, co powiedział mi Georg Hoffman, prawnik taty, kiedy poszłam do jego biura. No i niewiele jest miejsc, które znajdują się dalej od Londynu niż Australia.

Więc zamiast przez ileś godzin lecieć dokądś, gdzie nikogo nie znam, jutro wieczorem o tej porze mogłabym pić zimne piwo na plaży Railay. Kilka tygodni nie zrobi chyba różnicy? W końcu zbliża się Boże Narodzenie. Może mniej okropnie będzie spędzić je w miejscu, które znam i kocham...

Po raz pierwszy od długiego czasu z przyjemnością czegoś oczekiwałam. Zanim to uczucie się rozwiało, zatrzymałam pierwszą przejeżdżającą taksówkę i pojechałam na lotnisko. Wszłam do terminalu, udałam się do biura linii Thai Airways i wyjaśniłam, że muszę odłożyć swój lot do Australii. Kobieta przy biurku długo stuknęła w klawiaturę komputera, po czym oznajmiła mi, że będzie mnie to kosztowało około czterech tysięcy batów, więc stosunkowo nie tak dużo.

– Ma pani bilet z elastycznymi datami podróży. Na kiedy chce pani zmienić wylot? – zapytała.

– Może zaraz po Bożym Narodzeniu?

– Nie mamy miejsc. Pierwszym wolnym terminem jest ósmy stycznia.

– W porządku – zgodziłam się zadowolona, że przedłużenie pobytu mogę złożyć na karb losu. Potem kupiłam bilet z Bangkoku do Krabi i z powrotem. Odlatywałam następnego ranka.

Po powrocie do hotelu wzięłam prysznic, umyłam zęby i już dużo spokojniejsza położyłam się do łóżka. Gdyby usłyszały o tym moje siostry, powiedziałyby, że znowu się „wałęsam”, ale było mi wszystko jedno.

Jak poturbowane zwierzę miałam zamiar ukryć się, by wylizać rany.

2

W plaży Railay najlepsze jest to, że leży na półwyspie i właściwie można na nią dotrzeć tylko łódką. Byłyśmy ze Star w wielu niezwykłych miejscach, ale siedzenie na drewnianej ławce tradycyjnej łodzi z długą zadartą rufą, płynącej z szumem po wodzie barwy akwamaryny, a potem widok niezwykłych wapiennych skał w kształcie kolumn wznoszących się ku intensywnie błękitnemu niebu, znajduje się na mojej liście pięciu najbardziej magicznych chwil w życiu.

W miarę jak zbliżaliśmy się do brzegu, coraz wyraźniejsze stawały się przymocowane do skały liny i ludzie, którzy wyglądali jak wspinające się po nich kolorowe mrówki ubrane w jaskrawe, odblaskowe szorty. Zarzuciłam na ramiona ciężki plecak i zesłam z łodzi. Poczułam ciarki przyjemnego podniecenia. Choć mam krótkie kończyny, są silne i zwinne, a wspinaczka po skałach należy do rzeczy, w których jestem dobra. Nie jest to cenna umiejętność dla kogoś, kto mieszka w centrum Londynu i chce zostać artystką, ale tutaj ma znaczenie. Pomyślałam, że w zależności od tego, gdzie znajdujemy się na ziemi, nasze słabe i mocne strony są albo zaletami, albo wadami. W szkole byłam matołkiem, za to Star, całkiem dosłownie – supergwiazdą. Ale tu, w Krabi, zniknęła w cieniu. Siedziała na plaży z książką, a ja rozkoszowałam się różnymi sportami na świeżym powietrzu oferowanymi w tej okolicy. Mama kiedyś powiedziała, że moim żywiołem jest otwarta przestrzeń. Pewnie właśnie dlatego w społeczności Railay byłam lepiej znana niż moja siostra.

Woda wokół łodzi miała unikalny kolor: tam gdzie świeciło na nią słońce, była turkusowa, a w cieniu ogromnych skał nabierała głębokiej zieleni. Koniec przeprawy odbyłam, brodząc przez płytczynę w stronę lądu. Widziałam przed sobą całą plażę: łagodny półksiężyc białego piasku ograniczony ogromnymi wapiennymi kolumnami. Tu i ówdzie rosły palmy pomiędzy prostymi drewnianymi chałupami, w których mieściły się hotele i bary. Z jednego z nich dochodziły mnie kojące dźwięki muzyki reggae.

Brnęłam przez parzący biały piasek w stronę hotelu Railay Beach, gdzie mieszkaliśmy w ubiegłym roku. W końcu dotarłam do recepcji – pełniącej również funkcję baru – w rogu drewnianej werandy.

– Cześć – przywitałam młodą nieznaną mi Tajkę. – Macie pokój na kilka tygodni?

Baczenie mi się przyjrzała i popatrzyła do dużej teczki z rezerwacjami. Uważnie oglądała każdą stronę, wodząc po niej palcem, aż wreszcie pokręciła głową.

– Idzie Boże Narodzenie. Po dwudziestym pierwszym my nie mieć ani jednego pokoju.

– W takim razie może zostaną chociaż na następne dwa tygodnie? – zaproponowałam.

Nagle poczułam, że ktoś klepie mnie w plecy.

– Cee? To ty, prawda?

Odwróciłam się i zobaczyłam Jacka, wysokiego Australijczyka o sprężystych mięśniach. Był właścicielem hotelu i prowadził szkołę wspinaczki skałkowej na pobliskiej plaży.

– Tak. Cześć. – Uśmiechnęłam się do niego szeroko. – Właśnie biorę pokój w hotelu, na najbliższe dwa tygodnie, bo potem muszę się stąd zmywać. Podobno macie pełne obłożenie.

– Dla ciebie na pewno znajdzie się jakaś komórka, złotko, nie martw się. Jesteś z siostrą?

– Nie. Tym razem przyleciałam sama.

– Na ile zostajesz?

– Odlatuję po Nowym Roku.

– Daj mi znać, gdybyś chciała mi pomóc na skale. Przydałabyś mi się, Cee. O tej porze roku robi się tu dom wariatów.

– Może się zgłoszę. Dzięki – odparłam.

– Proszę wypełnić dane. – Tajka podała mi kwestionariusz.

– Nie zwracaj tym sobie głowy, Nam – zwrócił się do niej Jack. – Cee była tu w zeszłym roku z siostrą, więc wszystkie jej dane już mamy. – Spojrzał na mnie. – Chodź. Zaprowadzę cię do twojego pokoju.

– Dzięki.

Kiedy Jack brał mój plecak, zauważyłam, że recepcjonistka mierzy mnie złym wzrokiem.

– A dokąd jedziesz potem? – spytał.

– Do Australii.

Stanęliśmy przed pokojem numer dwadzieścia dwa, na końcu przejścia. Zobaczyłam, że moja kwatery jest tuż przy generatorze prądu, w dodatku z widokiem na dwa wielkie śmietniki.

– A, do mojej ojczyzny! Gdzie dokładnie?

– Na północno-zachodnie wybrzeże.

– A wiesz, że o tej porze roku jest tam piekielny skwar?

– Upał mi nie przeszkadza – odpowiedziałam i otworzyłam drzwi.

– To na razie. – Jack pomachał mi i odszedł wolnym krokiem.

Chociaż pokój był maleńki, wilgotny i okropnie śmierdzący śmieciami, z ulgą rzuciłam plecak na podłogę. Od tygodni nie czułam się tak dobrze, bo to ważne być rozpoznawalną. W ubiegłym roku od czasu do czasu pracowałam w szkole wspinaczki. Uwielbiałam sprawdzać liny i mocować klientom uprząży. Obie ze Star krucho stałyśmy z gotówką, więc pasowało im, że Jack w zamian za moją pracę obniżył rachunek za pokój. Ciekawe, co by zrobił, gdybym mu powiedziała, że nie muszę już pracować, bo teraz jestem milionerką? – pomyślałam. W każdym razie na papierze...

Pociągnęłam za postrzępiony sznurek, żeby włączyć wiatrak na suficie. W końcu rozkręcił się z piskiem i stukotem, ale wywołał tylko ledwie odczuwalny powiew. Zrzuciłam z siebie ubrania, włożyłam bikini i sarong, który kupiłam tu w ubiegłym roku, po czym wyszłam z pokoju i ruszyłam na plażę. Chwilę siedziałam na piasku, z rozbawieniem dochodząc do wniosku, że tu, w „raju”, jest milion razy głośniejsze niż w moim londyńskim mieszkaniu nad rzeką, bo tyle tu przyplywa i odpływa tradycyjnych długich łodzi z silnikami. Wstałam, podeszłam do brzegu i poszłam pobrodzić

w morzu. Kiedy znalazłam się już dostatecznie daleko, położyłam się na plecach na cudownej wodzie. Patrząc w niebo, dziękowałam Bogu – czy też Buddzie, czy komukolwiek należy dziękować – że wróciłam do Krabi. Po raz pierwszy od miesiący poczułam się u siebie.

*

Tej nocy, jak często w przeszłości, spałam na plaży. Na sobie miałam tylko tunikę, bluzę z kapturem, a pod głowę dla wygody położyłam nadmuchiwaną poduszkę. Gdy poprzednim razem chodziłam spać na plażę, Star traktowała mnie jak wariatkę.

– Na śmierć zagryzą cię komary – ostrzegła mnie.

Ja jednak – sama nie wiem dlaczego – mając nad sobą księżyc i gwiazdy, czułam się bezpieczniejsza niż pod jakimkolwiek dachem zrobionym przez człowieka.

Obudziło mnie łaskotanie w twarz. Podniosłam głowę i zobaczyłam, że koło mnie w stronę morza przeszły duże męskie stopy. Strzepnęłam z siebie piasek, którym mnie obsypały, i zobaczyłam, że poza nami na plaży nie ma żywej duszy. Na horyzoncie pojawiło się nikłe światło, z czego wynikało, że nadchodzi świt. Rozdrażniona, że tak wcześnie zostałam obudzona, przyglądałam się, jak mężczyzna z brodą i czarnymi związanymi w kucyk włosami wystającymi spod bejsbolówki dochodzi do brzegu i siada, podciągając nogi do klatki piersiowej i obejmując je rękami. Odwróciłam się na drugi bok, by z powrotem zasnąć – najlepiej śpi mi się między czwartą a dziesiątą rano – ale ani moje ciało, ani umysł nie chciały współpracować. Usiadłam więc w tej samej pozycji co mężczyzna przede mną i razem z nim przyglądałam się wschodowi słońca.

Chociaż byłam w wielu egzotycznych miejscach, stosunkowo niewiele razy widziałam, jak wschodzi słońce. Wczesny ranek nie jest moją ulubioną porą. Wspaniałe, subtelne barwy brzasku przywiodły mi na myśl malarstwo Turnera, ale w realu było znacznie piękniej.

Kiedy spektakl dobiegł końca, mężczyzna natychmiast wstał i odszedł brzegiem plaży. Z oddali dobiegły mnie ledwie słyszalne odgłosy długiej łodzi oznajmiające początek dnia ludzkiej pracy. Postanowiłam schronić się w pokoju, zanim plaża zapełni się przy-

bywającymi i odpływającymi turystami, i wstałam. Warto było się obudzić, żeby to zobaczyć, pomyślałam, przekręcając klucz w zamku, a potem kładąc się do łóżka.

*

Jak zwykle tutaj, czas mijał mi niepostrzeżenie. Zgodziłam się pomóc Jackowi w szkole wspinaczki skałkowej. Oprócz tego chodziłam nurkować ze sprzętem. Pływałam w towarzystwie koników morskich, barwnych ryb papuzich i rekinów rafowych, które krążyły między koralami, nie racząc nawet rzucić na mnie okiem.

Zachody słońca spędzałam wśród ludzi siedzących na rozłożonych na plaży matach. W tle słychać było dźwięki piosenek Boba Marleya. Przyjemnie zaskoczyło mnie, jak wielu mieszkańców Railay zapamiętało mnie z zeszłego roku. Wracałam do swojego pokoju, dopiero gdy zapadał zmrok, a ludzie przynosili się do baru, żeby się upić. Nie było mi jednak szczególnie przykro, bo to ja ich opuszczałam, a nie odwrotnie, więc gdybym chciała, zawsze mogłam do nich z powrotem dołączyć. Ale tak naprawdę humor poprawił mi się, kiedy dzień po przyjeździe w końcu odważyłam się włączyć telefon i zobaczyłam, że Star wysłała mi mnóstwo SMS-ów w stylu: **Gdzie jesteś?**, **Strasznie się o ciebie martwię!**, **Proszę, zadzwoń do mnie!**, i wielokrotnie nagrała się na pocztę głosową. Głównie w kółko powtarzała, że bardzo mnie przeprasza. Chwilę zajęło mi, żeby wysłać jej odpowiedź – nie tylko z powodu dysleksji i dlatego, że słownik w moim telefonie miał jeszcze większe problemy z ortografią niż ja, ale też po prostu nie wiedziałam, co napisać.

Wreszcie odpisałam, że u mnie w porządku i przepraszam, że nie odezwałam się wcześniej, ale jestem w podróży. Co było prawdą – i to nie tylko w sensie dosłownym. Natychmiast odpowiedziała, że bardzo jej ulżyło, cieszy się, że nic mi nie jest, i jeszcze raz mnie przeprasza. Zapytała, gdzie jestem, ale coś powstrzymało mnie od odpowiedzi. Może to dziecinne, lecz musiałam zachować dla siebie jakąś tajemnicę. Bo ostatnio to Star mnóstwo przede mną ukrywała.

*